

najpiękniejsze sceny, jakie w życiu widziałem! Mimo zachmurzonego nieba, widoczność pod wodą była wystarczająca, wszystko było klarowne i w żywych barwach – wokół rafy żyją dosłownie tysiące kolorowych ryb, mniejszych i większych, które skubały koralowce czy polowały na inne ryby. Niektóre osobniki były naprawdę sporych rozmiarów, podpływały na kilka czy kilkanaście centymetrów do ludzi i ciekawsko obserwowały lądowych intruzów. Co mnie bardzo zasmuciło, to wyraźna degradacja rafy koralowej – bywało wiele miejsc, w których nie żył żaden koralowiec... człowiek potrafi być naprawdę niszczycielskim stworzeniem.









Zdjęcia nr 129-137

Po powrocie ze snorkelingu postanowiłem pokrzyżać po wyspie, która ma około 6 kilometrów średnicy i powierzchnię 24 km². Redang jest jedną z największych wysp wschodniego wybrzeża Półwyspu Malajskiego, wyróżnia się krystaliczną przejrzystością wody, czego

doświadczylem na snorkelingu oraz plażami z białym, miękkim piaskiem. Osiem wysp oraz Redang tworzą park morski Redang Marine Park, którego głównym zadaniem jest ochrona środowiska morskiego oraz raf koralowych. Władze parku wskazują, że tworzą swego rodzaju sanktuarium, które chroni najcenniejsze morskie dobra Półwyspu Majalskiego.

Mój obchód pokazał negatywne strony wyspy, które nie jest wypielegnowane dla wzroku turystów, bo i ile hotele i plaże w ich pobliżu były bardzo czyste i wspaniale zaprezentowane, to już ich zaplecze było dla mnie katastrofalne! Na tyłach widać było masywne góry śmieci, które w niektórych miejscach były palone, wszędzie unosił się smród rozkładających się resztek, czuć było także wybijające szambo. Bywały miejsca, w których rośliny dżungli „zabierały” część ludzkich odpadów, okrywając je zielonym płaszczem, ale w większości przypadków po prostu dokładano do istniejących już śmieciowych gór kolejne odpady... Jak to często bywa, politycy wskazują, jak bardzo dba się w kraju o przyrodę, rzeczywistość rządzi się jednak zgoła odmiennymi zwyczajami – ogromna szkoda, że Malajowie tak bardzo nie szanują tak unikalnej wyspy i nie robią wszystkiego, aby taki dar natury był ich wizytówką. Malezja nie ma wielu wysp w swoim posiadaniu, a pod względem przyrodniczym Redang jest naprawdę niezwykła, stąd moje zdziwienie tak silnym brakiem poszanowania dla tego miejsca. Omijając hałdy śmieci, wszedłem ścieżką, która prowadziła do dżungli i od razu natknąłem się na bardzo głośną grupę małp, które bardzo intensywnie krzyczały w moim kierunku. Naprzeciw siebie zauważyłem młodą kobietę, która okazała się być Francuzką – powiedziała, że od kwadransa stoi na ścieżce, obawiając się przejść obok małp.

Wieczorem zjadłem bardzo smaczną kolację, po której udałem się na plażę i spisywałem moje podróżnicze wspomnienia. Akompaniował mi szum morskich fal i zespół muzyczny, który występował nieopodal. Mimo upału i hałasu oraz nieprzyjemnych doświadczeń z brakiem dbania o czystość wyspy, uznałem ten dzień za naprawdę obfity w pozytywy.









Zdjęcia nr 138-142

Zakładałem, że następny dzień na wyspie będzie najlepszy pod względem obserwacji przyrody, ponieważ mieliśmy, zgodnie z założonym planem, dwa razy snurkować! Pierwsze snurkowanie miało być poświęcone obserwacji żółwi morskich, miałem wątpliwości czy w ogóle uda się zobaczyć (z daleka choćby!) przynajmniej jednego żółwia – poszedłem więc do obsługi i zapytałem o prawdopodobieństwo. Zdziwiona moim pytaniem Pani wskazała, że obserwacja jest pewna, bo żółwie bywają w miejscu snurkowania każdego dnia, ciekaw byłem czy okaże się to pewnikiem!

Zostaliśmy ulokowani w motorówce i płynęliśmy na miejsce snurkowania kilkanaście minut, po czym silnik łodzi został wyłączony i... naszym oczom ukazał się żółw morski, który przepływał obok! Przewodnicy mieli ze sobą kawałki mięsa, którym wabili żółwie, a my zeszliśmy do wody. Co i rusz między nami przepływały te wspaniałe stworzenia, muskając nasze kończyny płetwami. Ponownie na tym wyjeździe miałem pecha – chciałem nagrać film pod wodą, żeby później pokazać, jak świetnym doświadczeniem jest obserwacja żółwi morskich w tak pięknych okolicznościach przyrody, ale nie mogłem uruchomić nagrywania –

technologia to tylko technologia, cóż mogłem na to poradzić. Pozostało mi napawać się widokami i żółwiami, niektóre były naprawdę ogromne, zdarzały się osobniki bez jednej z płetw (ofiary śrub napędów motorowych oraz drapieźników), ale na skorupach każdego niemal żółwia byli pasażerowie „na gapę” – przyłączone 2-3 rybki, które wyglądały na sumiki.

Żółwie morskie mogą osiągać (w zależności od gatunku) od 58 do 140 cm długości, a ważyć nawet 500 kg! Zazwyczaj są samotnikami, ale jeśli w jakimś obszarze występuje nagromadzenie pożywienia, przebywają tam większe grupy żółwi. Na lądzie, gdzie udają się samice, aby złożyć jaja, żółwie morskie są niezgrabne i powolne, ale w wodzie są zwinne i majestatyczne. Kiedy wróciliśmy z wodnych przygód, zjadłem obiad (ponownie był bardzo wysokiej jakości) i postanowiłem wybrać się pieszo na drugą stronę wyspy, w okolicę plaży na której obserwowaliśmy żółwie morskie. Przeszedłem około 2 kilometrów, nierówną ścieżką przez dżunglę, co zaowocowało wieloma ciekawymi obserwacjami przyrodniczymi, ale przy okazji byłem dosłownie zlany potem. Podczas marszu widziałem ogromne drzewa, po których beztrąsko hasały wiewiórki, których na wyspie jest sporo, zauważyłem też warany paskowane, podobnie jak w Tajlandii. Napotkany gatunek nie zagraża człowiekowi, ale widok ogromnego jaszczura naprawdę budzi pierwotny respekt i chęć utrzymania bezpiecznej odległości.

Warany paskowane, nazywane też leśnymi, dorastają do około 2 metrów długości, osiągając przy tym masę do 30 kilogramów - rekordowy waran paskowany, zmierzony na Sri-lance osiągnął 321 centymetrów długości! Preferują tereny podmokłe, bagniste bądź bliskie zbiornikom wodnym. Nie są płochliwe, ale zaniepokojone uciekają do wody, potrafią dobrze pływać, nurkują (potrafią przebywać pod wodą bez wynurzenia do 30 minut) i wspinają się na drzewa. Dieta waranów paskowanych jest bardzo szeroka - młode osobniki żywią się głównie owadami, później mięczakami, skorupiakami, rybami, płazami, nie gardzą żółwiami czy młodymi krokodylami. jaszczury te są prawdziwymi oportunistami pokarmowymi, jeśli na ich drodze ujawni się padlina, odpadki czy ekskrementy - również staną się pożywieniem waranów.

Po snurkowaniu z żółwiami, odwiedziliśmy jeszcze inne miejsca, w których obserwowaliśmy rafy koralowe i żyjące w ich obrębie podwodne stworzenia, mieniające się tysiącami odcieni. Obserwowane przez nas rafy były w o wiele lepszej kondycji niż te wczoraj, co napawa mnie nadzieją, że jest jeszcze dla podwodnej fauny wyspy szansa. Morskie życie obserwowaliśmy przez parę godzin, zdarzyło mi się na przykład zaobserwować przepięknie kolorową papugorybę, która była całkiem sporych rozmiarów! Emocje związane ze snorkelingiem i magia świata pod powierzchnią wody spowodowały, że muszę spróbować pełnowymiarowego

nurkowania, w profesjonalnym sprzęcie! Gdybym miał profesjonalny sprzęt, mógłbym pływać godzinami i napawać się pięknem, które ukryte jest pod morskimi falami...



Zdjęcia nr 143-144

Wieczorem, ponownie korzystałem z niecodziennych okoliczności przyrody, siedząc na plaży i słysząc szum fal, ptasie trele i muzykę na żywo, którą grał zespół z baru nieopodal. Spisywałem wspomnienia z refleksją, że przeżyłem naprawdę wspaniały dzień! Jedynym mankamentem, który mnie prześladował, było przeziębienie, którego nabawiłem się prawdopodobnie od klimatyzacji – mobilizowałem się, aby szybko dojść do pełni sił, bo miałem przed sobą tyle wspaniałych przygód, że trudno było mi je sobie wizualizować! Jeśli chodzi o grupę, z którą przyszło mi spędzać czas, składała się z Chińczyków i pary z Włoch. Ci pierwsi, byli bardzo mili, grzeczni i zdyscyplinowani, na całej wyspie i w hotelu turyści z Chin stanowili około 90% wszystkich gości. Wszyscy zachowywali się fantastycznie – widać było, że bawią się świetnie, często śpiewali, choć tak, aby nie przeszkadzać innym, przez większość czasu przebywali w większych grupach. Szkoda, że Włoszka, która podróżowała z partnerem/mężem nie wzięła przykładu z Chińczyków... kobieta na każdym niemal kroku okazywała niezadowolenie, była rozwydrzona i naprawdę uciążliwa – cóż, takie uroki zorganizowanych wycieczek, gdzie nie mamy wpływu na ekipę.

















Zdjęcia 145-158

Ostatni chwile na wyspie Redang spędziłem przy wybornym śniadaniu, po czym wykwaterowałem się z pokoju i o 10.30 ruszyliśmy na kolejną wyspę - Perhentian Besar obok której leży wysepka Perhentian Kecil – obydwie są częściami parku morskiego Redang Marine Park. Rejs z Redang na Perhentian trwał ponad godzinę, a później musiałem poczekać w hotelowym barze na klucz do mojego pokoju, który wydano mi dopiero o 14.00. Najgorętszą część dnia postanowiłem spędzić na wypoczynku w pokoju, aby regenerować moje zdrowie, ale później wybrałem się na obchód kilku plaż, które również zachwycały miękkim, białym piaskiem. Podczas spaceru moim oczom ukazywały się co i rusz nowe hotele, za którymi pięła się zielona, gęsta dżungla. Wokół mnie spacerowali inni turyści, którzy posługiwali się francuskim, angielskim i włoskim, było tutaj też zdecydowanie mniej przybyszy z Chin. Co ciekawe, o ile na Redang nie spotkałem nikogo z Polski, to w pokoju obok mnie rezydowała trzypięciorobowa rodzina rodaków.

Na mapach i w różnych folderach zauważyłem, że można spędzić tutaj czas bardzo aktywnie – wokół wyspy było mnóstwo plaż, oznaczone były także ścieżki prowadzące przez dżunglę, które prowadziły na drugą stronę wyspy. Przy każdej z większych plaż funkcjonowały bary i kawiarnie, w których bez problemu można było zjeść smaczny obiad, napić się dobrej mocnej, świeżo palonej lokalnej kawy, wypić wodę z kokosa czy napić się soku ze świeżych owoców. W panujących warunkach atmosferycznych, kiedy z potem uciekają ważne dla organizmu minerały - wszystko to było na wagę złota!

Można również było wykupić wycieczki tematyczne – na obserwację rafy koralowej, żółwi morskich czy rekinów. W ogłoszeniach znalazłem wiele firm, które oferowały szkolenia nurkowe.

Tuż obok niewielkiego hotelu, w którym spałem, znajdowała się restauracja, z której mogłem oglądać życie wioski rybackiej, położonej tuż obok. Słyszałem nawoływania imama, zapraszającego wiernych do modlitwy, widziałem ogromny meczet, który położony był na nabrzeżu, słyszałem wesołe pokrzykiwania dzieci rybaków. Uznałem za szczęśliwy traf, że w moim hotelu nie było restauracji, bo dzięki temu mogłem zdrowo i naprawdę wyśmienicie zjeść, obserwując jednocześnie życie mieszkańców wyspy. Na kolejny dzień zaplanowałem odkrywanie kolejnych plaż i dżungli!









Zdjęcia nr 159-166

Nastawiłem budzik na wczesną pobudkę – w hotelu, który wybrałem (z dnia na dzień nie ma zbyt wielu miejsc noclegowych na wyspie, więc możliwości wyboru były marne) wyłączano zasilanie o 7.00, przez co w błyskawicznym tempie w pokoju robiło się parno i niesamowicie duszno. Stwierdziłem, że trzy noce można wytrzymać w każdych warunkach, stąd nie narzekałem zbyt wiele, bo i nie było na co. Kwestia hoteli i usług, które oferowały zlokalizowane na wyspie hotele zależała po pierwsze od zasobności portfela turysty, a po drugie od wyprzedzenia bukowania kwatery - można było znaleźć zarówno świetne hotele czy domki, w ogródkach których były baseny ze słodką wodą, jak i kiepskie - w których dostęp do zasilania był ograniczony, nie wspominając o innych, podwyższających komfort bytowania usługach.

Po śniadaniu, udałem się na obchód części wyspy, na której znajdował się hotel. Moje plany zakładały, że trzy razy będę przechodził ścieżką przez dżunglę, żeby poznać dzikie plaże, znajdujące się w różnych zatoczkach, a po marszu na wyspie Redang wiedziałem, że nie będzie to łatwa wyprawa!

Po wejściu do lasu i chwilowym marszu wąską, wyboistą ścieżką, byłem totalnie mokry! Uczę się jednak na błędach i tym razem byłem znacznie lepiej przygotowany pod względem odzieży – miałem m.in. t-shirt z wełny merynosów, który przylegał do ciała, co ograniczało powstawanie otarć i dyskomfortu. Najtrudniej jednak było mi poradzić sobie z kropelkami potu, spływającymi mi po twarzy, ale cóż – taki klimat!

Po każdym wyjściu z dżungli, moim oczom ukazywała się nowa, piękna plaża, na której z reguły znajdowało się kilka ośrodków wypoczynkowych, resortów turystycznych czy hoteli na wysokim lub niższym poziomie wygody i prestiżu. Wydawać by się mogło, że każda plaża jest taka sama, ale jednak różniły się układem, skałami czy osłaniającymi je drzewami – jedne były bajkowo piękne – czułem się tam jak w rajku utraconym, inne nie wyróżniały się niczym ciekawym. Na plażach często zamontowane są natryski ze słodką wodą, ale dają one tylko chwilową ulgę i komfort, a jeśli upał jest naprawdę ciężki – trudno poczuć jakkolwiek różnicę.

Po paru dniach spędzonych w tropikach mam pewność, że zawsze należy zadbać o hotel – klimatyzowany całodobowo, co daje możliwość brania orzeźwiających i oczyszczających pryszniców i odpoczynku w temperaturze pokojowej, bo temperatura i wilgotność naprawdę nie oszczędzają człowieka!

Każde z trzech wejść do dżungli było bardzo emocjonujące! Po wejściu za linię drzew i zarośli, czułem się jak Krzysztof w Krainie Czarów – dźwięki z zewnątrz były wygłuszone, wokół mnie

dosłownie unosiła się wilgoć, pod stopami miałem skały, poprzeplatane korzeniami drzew, które wznosiły się bardzo wysoko ponad moją głowę! Pomyślałem sobie, co musi czuć osoba, która przedziera się przez pełnowymiarową dżunglę, w której nie ma ścieżek, za to na każdym liściu i za każdym drzewem są zwierzęta (w sumie to i rośliny), które mogą zrobić krzywdę bądź pozbawić życia. Idąc, spotkałem moje ulubione warany, ogromne mrówki, niewielkich rozmiarów węża, który wyglądał jak źdźbło trawy i powiewał delikatnie, jakby faktycznie był częścią trawiastej kępy, w której się ukrył. Słyszałem wiele ptaków, zachwylił mnie szczególnie ptasi trel, który przypominał dzwonek czy sygnał alarmowy – niesamowite! Najdziwniejsze jednak było, że nie przeleciał mi koło ucha ani jeden komar – w sumie, nie przeszkadzały mi żadne owady, ciekawe czy podobnie jest nocą?

Jak łatwo się domyślić, prawie każda z odkrytych przeze mnie plaż miała dwa oblicza – bajkowe i rajskie – takie, które ma ujrzeć turysta, a drugim były ohydne zaplecza ośrodków wypoczynkowym, resortów i hoteli, podobnie jak na poprzedniej wyspie. Krystalicznie czysta woda, miękki, niemal wyczesany piasek, brak śmieci i szum fal uchodziły w niepamięć, kiedy wzrok zatrzymywał się na wszechobecnych (mniejszych i większych) składowiskach śmieci, które mieszały się ze ściekami, tworząc śmierdzące „oczka szamba”, w których, o dziwo, pływały moje ulubione warany! Przechadzając się po wyspie czuć było palony plastik, za hotelami unosiły się kłęby czarnego, gęstego dymu – nikt już nie dbał o to, czy turyści widzą i czują, co dzieje się z odpadami. Nie jestem w stanie pojąć, jak kraj, który ma tylko kilka tak świetnych i unikalnych na skalę całego świata wysp, może wyrażać przyzwolenie na tak silną dewastację przez właścicieli infrastruktury turystycznej. Sektor gospodarki odpadami w Malezji ma przed sobą długą i trudną drogę do przebycia – oby jego rozwój nie przypadł na czas, w którym rajskie wyspy przestaną istnieć i zostaną wielkimi wysypiskami śmieci. Przez parę dni zauważyłem tylko jedną łódź, która przyplłynęła po odpadki – resztę śmieci czekał pewnie powolny rozkład lub spalanie.































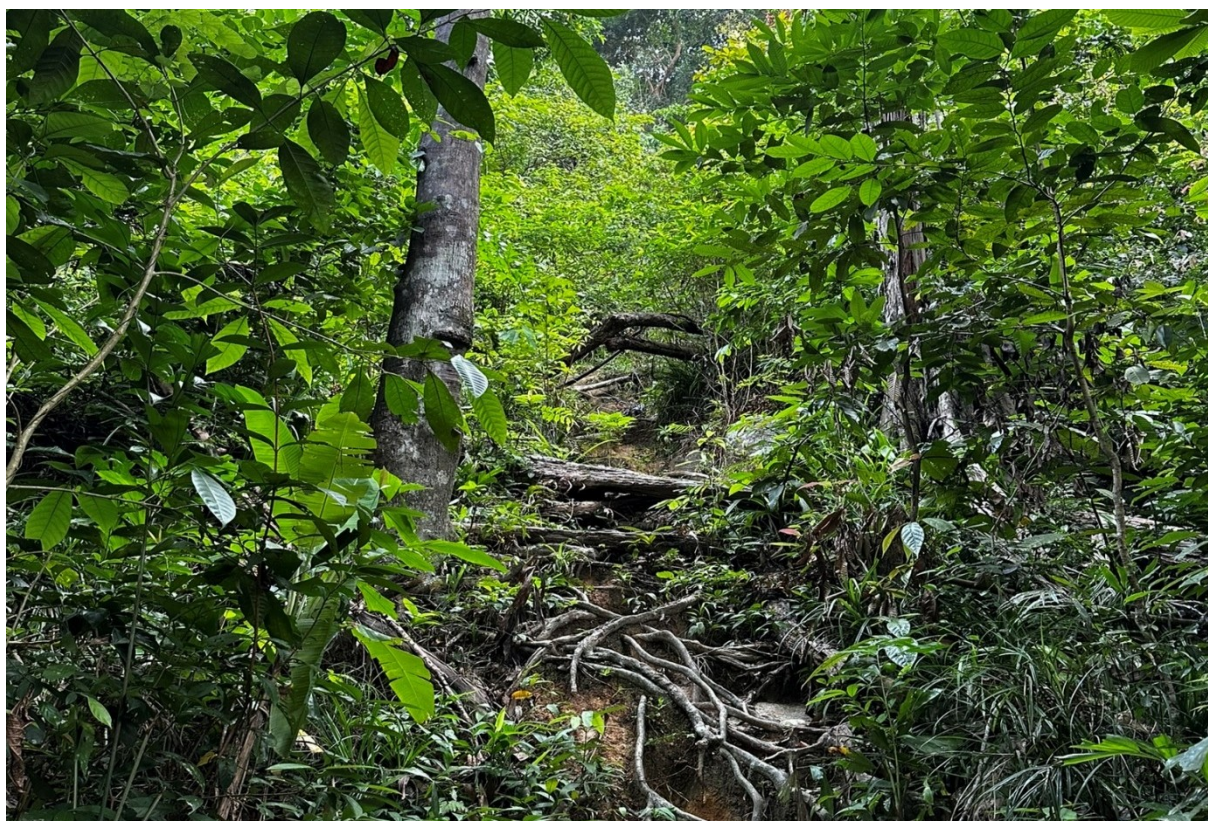












Zdjęcia nr 167-205

Pod koniec dnia, kiedy już byłem na ostatniej prostej, postanowiłem popływać z rurką i maską, żeby zaznać jeszcze odrobinę podwodnego świata i trochę się schłodzić. Ku mojemu zdziwieniu, dosłownie trzy metry od plaży, w wodzie zobaczyłem niesamowite koralowce i ogrom pięknych kolorowych rybek. Rafa koralowa była tutaj zdecydowanie lepiej funkcjonująca niż na Redang, a możliwość obserwowania życia, jakie się na niej toczy to jedno ze wspanialszych doświadczeń mojego całego życia. Postanowiłem, że muszę zakupić kamerę do nagrywania życia pod wodą – koniecznie! Jeden z wielobarwnych gatunków ryb był tak terytorialny, że rybka, kiedy podpłynąłem zbyt blisko jej terenu – ugryzła mnie lekko w nogę, wiedziałem, że nie ma z nią żartów! Mimo nieznośnego upału, kończyłem ten dzień z myślą, że odkrywanie dżungli i świata wodnej fauny i flory jest fascynujące, warte każdej kropli potu i wysiłku.

Kolejnego dnia miałem w planie udanie się na bliźniaczą wyspę - Perhentian Kecil, aby odwiedzić wioskę rybacką, którą oglądałem dotąd z daleka. Oszacowałem, że można do niej dotrzeć w około dziesięć minut – wyprawa wodną taksówką kosztowała mnie około 9 złotych. Kiedy wysiadłem z łódki, panował upał, ale chodziłem uliczkami wioski, między domostwami i dosłownie zaglądałem do domów mieszkańcom. Większość budynków była zbudowana z drewna, a wokół nich panował dość spory rozgardiasz – wszędzie walały się stare rowerki, dziecięce motorki, zabawki, śmieci, linki z rozwieszonym praniem, hamaki do spania i kanały z płynącymi ściekami. Wszystko razem nie napawało optymizmem, ale zdarzały się zagrody, które mogłyby wieść prym i stanowić przykład dla innych – tworzyły je zadbane, odmalowane domy, w których panował ład na zewnątrz, a wokół posadzona była liczna roślinność, ubogająca zagrodę. Ciekawie prezentował się zbudowany nad brzegiem morza meczet, z którego codziennie nawoływano do modlitwy.

We wsi funkcjonowało przedszkole dla najmłodszych, szkoła dla młodzieży oraz posterunek policji. Ogólna atmosfera sprawiała wrażenie bardzo przyjaznej, ludzie prowadzili tutaj rozmaite biznesy i standardowe życie, jak każdy z nas, wszystko było bardzo autentyczne i prawdziwe, co nadawało wiosce niezwykłego klimatu. Zaglądający tutaj turyści nie wywoływali żadnego zdziwienia w mieszkańcach, którzy nie zważając na nic i nikogo, pędzili swój żywot, aby utrzymać siebie i rodziny. Podążając wiejskimi zaułkami spotkałem oczywiście przedstawiciela mojego ulubionego gatunku waranów, pływającego w – a jakże! – brudnej wodzie wymieszanej ze ściekami. Porównując bazę noclegową i jakość plaż obydwu wysp, dobrze trafiłem, nie wybierając tej na miejsce docelowe. Plaże na Perhentian Kecil były

mniej urokliwe i było ich mniej. Poszukałem miejsca, w którym zjadłem lunch, wróciłem do przystani wodnych taksówek i wróciłem na moją wyspę.































Zdjęcia nr 206-228

Po powrocie, wziąłem szybki prysznic, zmieniłem ubrania na świeże i udałem się na kolejną sesję snurkowania! W planach miałem odwiedzić plażę obok hotelu, a później udać się w moją

wczorajszą destynację, gdzie podziwiałem koralowce. Jednak plaża opodal hotelu okazała się rajem na ziemi – pod wodą, kilka metrów od brzegu morskie fale skrywały przepięknej urody koralowce, wokół których życie toczyło tysiące wielobarwnych istot! Trudno jest wyobrazić sobie, jak fantastycznie jest mieć takie obrazy w zasięgu wzroku! Pływałem między koralowcami, korzystając z naturalnie utworzonych przesmyków i wzdychałem w duchu, jakie szczęście spotkało mnie w życiu – nie każdy ma odwagę, aby udać się w podobne miejsca! Przedstawiciel gatunku ryby, który szczytnął mnie w nogę wczoraj, dziś uczynił to podobnie – uśmiełem się w masce i oddaliłem, żeby nie stresować dzielnego, podwodnego rycerza. Podziwianie podwodnego życia nie nudziło mnie ani trochę, ponieważ ilość form, kolorów i nowości jest nieskończenie różnorodna! Jedyne, co oprócz zachwyty, towarzyszyło mi ciągle, to uczucie, że chcę więcej.

Miałem okazję rozmawiać z wieloma ludźmi, którzy płacili naprawdę ogromne kwoty pieniędzy za wycieczkę na rafy koralowe, a tymczasem ja miałem to na wyciągnięcie dłoni! Równie dobrze można by usiąść w wodzie po pępek, zanurzyć głowę, otworzyć oczy i obserwować życie na koralowcach! Ryby nic a nic nie przejmują się obecnością ludzi w wodzie, przez cały czas czułem się jak element ich krajobrazu, a nie intruz, zakłócających im życie – wspaniałe emocje!

Jak to zwykle bywa, wszystko co piękne kończy się zaskakująco szybko – kolejnego dnia opuszczałem wyspę, o 12.00 miałem prom do miasta Kuala Besut, skąd o 15.00 (jak się później okazało – z niewielkim opóźnieniem) odjeżdżał autobus do Kuala Lumpur. Rejs promem trwał 40 minut, droga lądem miała długość 530 kilometrów i trwać resztę dnia. Czekać niemal dwie godziny na dworcu autobusowym, miałem okazję obserwować życie ludzi, mieszkających w Kuala Besut. Tuż przy dworcu znajdował się lokalny market spożywczy, wokół panował okropny bałagan, wszędzie zalegały sterty śmieci, które wydzielały mało przyjemny zapach, co w pakiecie z upałem dawało się we znaki. Siedząc, zastanawiałem się – jak to jest możliwe, że lokalsom nie przeszkadza życie, które przypomina bytowanie na wysypisku śmieci? Nie jestem w stanie tego pojąć.

Podróż autobusem pozwoliła mi ponownie przyglądać się Malezji – równym, dobrze utrzymanym drogom i inwestycjom w infrastrukturę transportową. Największe wrażenie wywierała na mnie jednak wszechobecna zieleń, która pięknie okala tutaj wszystko! Malezja jest zdecydowanie ambitnym krajem, jednak mieszkańcy muszą zrozumieć, że przyroda, którą tak pomijają i nie szanują, jest unikatem, warto o nią szczególnie dbać i pokazywać przybyszom

z całego świata. Turystyka może być naprawdę dochodowa dla tego kraju, ale minie pewnie jeszcze parę lat, nim Malajowie „obudzą się” z zarzuconej śmieciami rzeczywistości.













Zdjęcia nr 229-240

Do malezyjskiej stolicy dotarliśmy około 23.30, autobus zakończył kurs na głównym dowrcu, gdzie musiałem znaleźć punkt, w którym zatrzymują się taksówki GrabTaxi. Zadanie okazało się dość trudne, lokalni „nieformalni” konkurenci, którzy zachowywali się względem podróżnych z wysoką dozą cwaniactwa, słyszałem też nawoływania i zaproszenia od zrzeszonych taksówkarzy, jednak wolałem nie korzystać z ich usług. W Malezji, podobnie jak w Singapurze, aby zamówić przejazd w GrabTaxi, należy udać się do miejsca, w którym ich pojazdy mogą się zatrzymywać i podbierać podróżnych. Po dłuższej chwili, którą poświęciłem na poszukiwanie, odnalazłem właściwe miejsce i zarezerwowałem przejazd do hotelu w cenie, która mnie satysfakcjonowała. Apartament zarezerwowałem w dużym hotelu-apartamentowcu, w którym recepcja była czynna do 22.30, dlatego jeszcze będąc w autobusie, korespondowałem z obsługą i otrzymałem zapewnienie, że karta do mojego apartamentu będzie schowana w punkcie bezpieczeństwa na pierwszym piętrze – cokolwiek to oznaczało. Miałem wątpliwości odnośnie ceny mojego noclegu, ponieważ za dobry pokój ze śniadaniem, niemal w samym centrum Kuala Lumpur zapłaciłem około 500 zł, co było kwotą bardzo niewygórowaną, jak na lokalizację i warunki.

Kierowca dowiózł mnie na miejsce, gdzie uprzejmi Panowie z punktu bezpieczeństwa przekazali mi kartę wejściową do apartamentu, który okazał się być fantastyczny! Po ostatnich trzech nocach, które spędziłem w dość spartańskich warunkach, miałem ochotę porządnie się wyspać. Pokój był zlokalizowany na 19 piętrze, z okien rozciągała się panorama na stolicę – aż miło było popatrzeć. Kiedy rano zszedłem na śniadanie, kolejny raz się zaskoczyłem – na gości czekała prawdziwa uczta, moją uwagę przykuły zioła i warzywa, które rosły w donicach – można było je zerwać i doprawić śniadanie bądź zjeść prosto z krzaka. Najedzony, zrobiłem rekonesans w poszukiwaniu basenu i zaskoczyłem po raz kolejny, ponieważ był tutaj 30-metrowy basen, w którym mogłem porządnie popływać.

Ukontentowany, wybrałem się na zwiedzanie Kuala Lumpur – miałem w planach dokończenie zwiedzania, a szczególnie udanie się do ogrodu botanicznego Perdana Botanical, w którym znajduje się Park Motyli oraz zajście do Parku Ptaków.

Spodziewałem się więcej, niż miałem okazję zobaczyć – Park Motyli był pięknie zatopiony w zieleni roślin, znajdował się tam także niewielki wodospad i małe potoki. Dookoła zwiedzających latały motyle – mniejsze, większe i różnie ubarwione, jednak nie było ich tak dużo, jak wskazywał parkowy folder, ale może trafiłem na zły moment. W budynku obok, którego stan wskazywał, że okres świetności ma już dawno za sobą, znajdowały się wystawy tematyczne, na których obok żywych owadów w terrariach, były gabloty z ogromnymi kolekcjami niezliczonych gatunków motyli czy całej gamy owadów, pajęczaków i innych „robali” - miejsce jest warte polecenia i godne zobaczenia! W sklepiku, który sąsiadował z wystawą, można było kupić różne gadżety, ale także pięknie oprawione, mniejsze i większe, gabloty z okazami wielu owadów, których wwiezienie na teren Unii Europejskiej wydawało mi się wątpliwie legalne.















Zdjęcia nr 241-250

Po wyjściu z Parku Motyli, udałem się pieszo do Bird Park, czyli Parku Ptaków, który oddalony był o około 700 metrów – ostatnio chciałem go odwiedzić, ale nie zdążyłem. Bird Park w Kuala Lumpur jest podobno jednym z największych parków ornitologicznych na świecie, a wyróżnia się tym, że ptaki nie żyją tutaj w zamkniętych klatkach, a swobodnie poruszają się po czterech wydzielonych, dużych sektorach. Drapieżniki, które stanowiłyby zagrożenie dla innych ptaków i odwiedzających, są wyizolowane w swoich sektorach, które bardziej przypominały klatki w ZOO, które znamy w Europie. Siatka, która uniemożliwiała ptakom wzniesienie się poza obręb parku, była bardzo wysoko, na wysokości koron drzew, były w niej jednak sporych rozmiarów dziury, przez które ptaki wylatywały na zewnątrz oraz wracały. Dziury były pewnie robione przede wszystkim przez małpy, których około 30 osobników urządziło sobie zabawy w berka, wczepiając palce w oczka siatki.

W parku było mnóstwo mniejszych, średnich i ogromnych ptaków, w większości lokalnie występujących, ale były tutaj także strusie, które w Malezji nie występują. Papugi,

zamieszkujące park, można było wziąć na rękę i zrobić sobie z nimi zdjęcie, większość ptaków, szczególnie tych dużych, chodziła swobodnie między zwiedzającymi.

Ptaki miały tutaj świetne warunki do życia, na drzewach było dużo gniazd, w których wysiadywały jaja i wychowywały młode. Wrażenie zrobiły na mnie duże łąki, stawy i wodospady, z których ptaki dowolnie korzystały. Zorganizowanie kompleksu powodowało, że naprawdę przyjemnie spędzało się tutaj czas. Park zamykano dla zwiedzających o 18.00, a koszt biletu wyniósł mnie około 70 złotych.











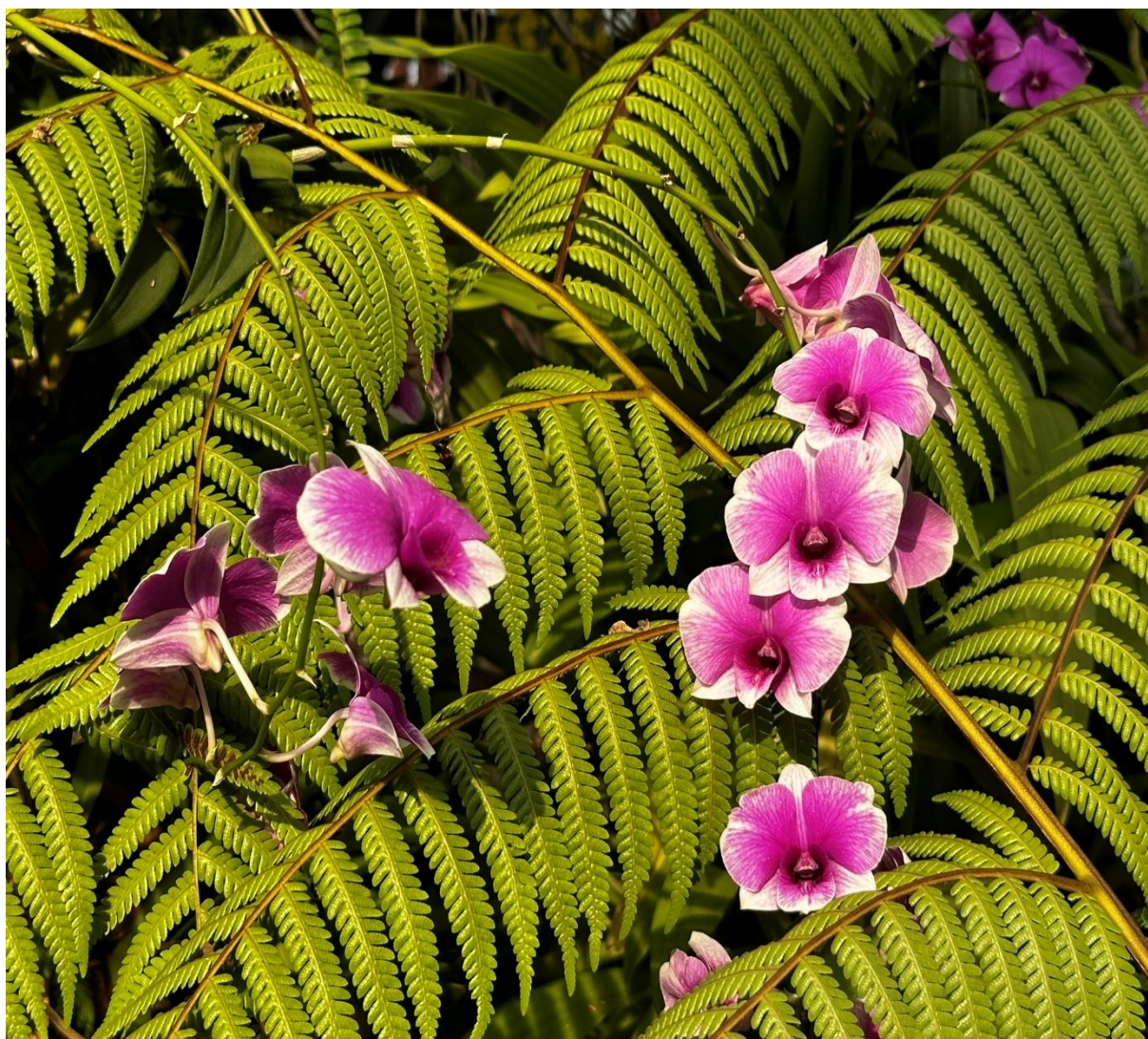




Zdjęcia nr 251-262

Wyszedłem z Parku Motyli i skierowałem się do ogrodu botanicznego, który był położony po drugiej stronie ulicy. W parku znajdował się wyjątkowy ogród kwiatowy, który był pięknie prowadzony, służył też bardziej aktywnym gościom do uprawiania sportu. Poza wspaniałymi okazami drzew, które były opisane przy pomocy kodów QR, w parku było bardzo dużo stawów, w rejonie których kręciły się moje ulubione warany. Jak już wielokrotnie wspominałem, oglądanie tych pięknych jaszczurów, które z wolna spacerują sobie w okolicach zbiorników wodnych, zawsze sprawia mi wiele radości! Po wyciszającym spacerze po parkowych alejkach, udałem się do Centralnego Marketu, oddalonego o około 2 kilometry, aby nabyć ostatnie souvenir, wkrótce bowiem opuszczałem Malezję.

Central Market w Kuala Lumpur to bardzo ciekawe miejsce, w którym można dokonać zakupów spożywczych, odzieżowych, nabyć pamiątki, ale także poznać przyszłość u wróżek, zrobić tatuaże z henny, udać się na masaż czy odwiedzić galerię sztuki oraz muzeum sztuki iluzji 3D.























Zdjęcia nr 263-280

Ostatni dzień w Kuala Lumpur był dla mnie bardzo ważny – zarezerwowałem bowiem ponad tydzień wcześniej bilety na Petronas Towers, moja pierwsza próba wejścia do słynnych

wieżowcach zaczęła się i zakończyła na odbiciu się od kas biletowych. Jak już wspominałem, na wieże każdego dnia może wjechać 1400 osób (a każdego dnia wszystkie bilety się wyprzedają, co jest fascynujące!), bilet kosztuje 90 złotych, co przez cały rok przynosi kwoty, pozwalające utrzymać wieżowce bez żadnego problemu.

Żeby z powodzeniem zrealizować bilet, należy być kwadrans przed godziną wskazaną na bilecie, aby przejść przez punkt kontrolny, w którym każdy otrzymuje kolorową naklejkę, strażnicy sprawdzają również torby zwiedzających – większych rozmiarów bagaże muszą być zdeponowane w szafkach. Po kontroli, wjeżdża się w kilkunastoosobowej windzie na poziom łącznika między obydwojma wieżami, na którym spędzić można 10 minut i podziwiać panoramę miasta. Następnie, w mniejszych windach, wjeżdża się na poziom 86 piętra, gdzie znajduje się ogromne, zamknięte z czterech stron pomieszczenie na powierzchni całej wieży, zza którego szyb, podziwiać można stolicę jak długa i szeroka! Jest to najwyższy położony taras widokowy w mieście. Widok jest naprawdę zacy, szkoda jednak, że pomieszczenie jest zamknięte – szyby nie zawsze były czyste, a możliwość podziwiania i czucia lekkiego wiatru we włosach (lub po prostu na głowie, w przypadku bezwłosych, do których się zaliczam) jest znacznie bardziej przyjemne. Można było tam spędzić 15 minut, po czym windy zwoziły grupę kilkanaście pięter niżej, gdzie znajdował się kolejny taras widokowy, a także punkty gastronomiczne i sklep z pamiątkami. Osoby z marketingu przewidziały tutaj (o, dziwo!) najwięcej czasu – sprzedaż jest najważniejsza! Całość pobytu na wieży zajęła około 1.5 godziny. Uważam, że będąc w Kuala Lumpur, należy koniecznie wpisać odwiedzenie tego miejsca na listę „do zobaczenia”, choć wieża KL Tower, na którą wjechałem wcześniej jest ciekawsza – ma zawieszoną nad ziemią klatkę, która umożliwia robienie świetnych zdjęć i otwarty taras.

Po powrocie z eksploracji pozostało mi już tylko zjedzenie kolacji i spakowanie się, ale także zorganizowanie początku kolejnej części mojej podróży!

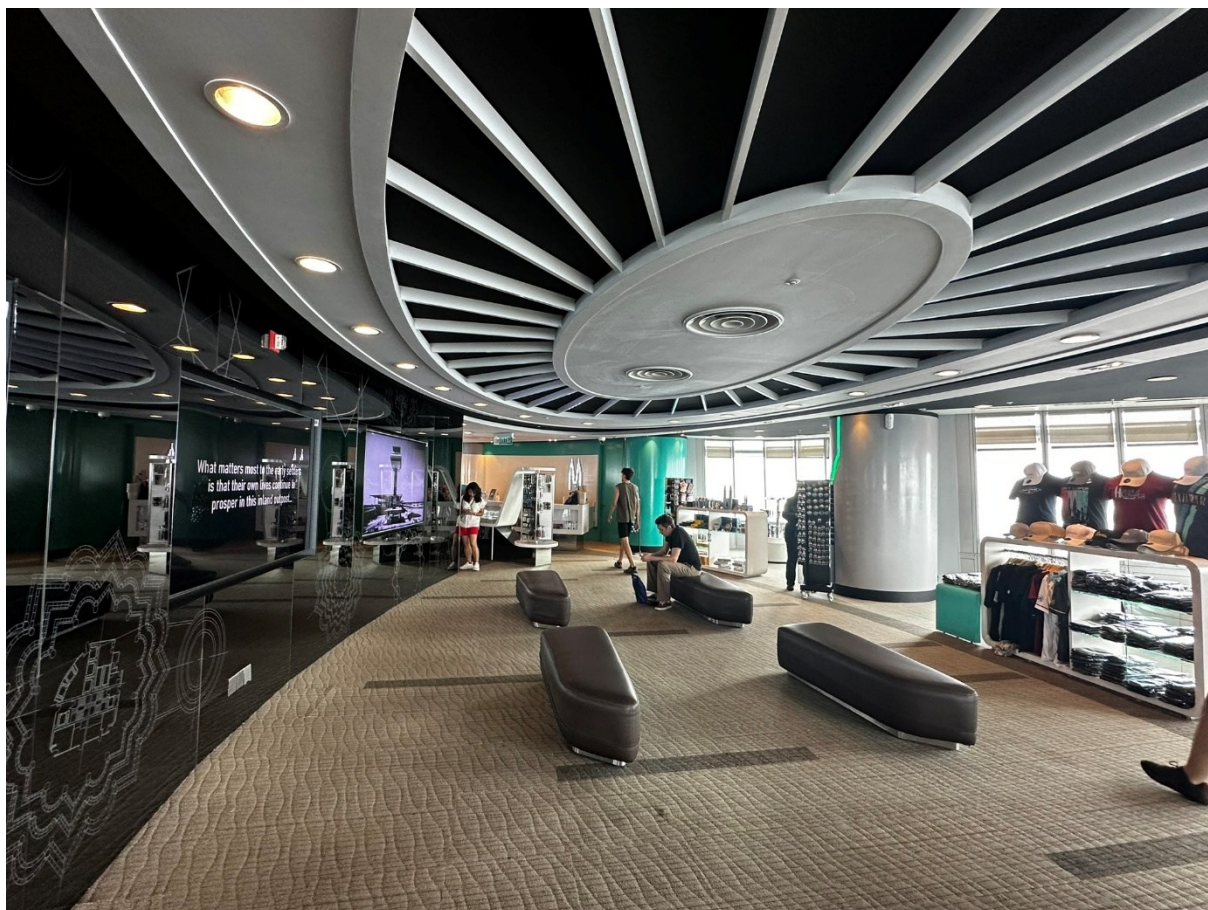












Zdjęcia nr 281-287

Ostatni dzień w malezyjskiej stolicy rozpocząłem gimnastyką i basenem, co zagwarantowało mi świetne samopoczucie. Moja chwilowa niedyspozycja zdrowotna powoli odchodziła w zapomnienie, ale – co ucieszyło mnie najbardziej, dzięki lokalnej diecie, usunięciu mięsa z jadłospisu, rezygnacji ze słodyczy i alkoholu – mogłem zapiąć pasek od spodni na dziurkę, znajdującą się bliżej klamry paska! Wspaniałe wieści! Co do diety – jadałem głównie warzywa, ryby i owoce, czemu towarzyszyły najczęściej niewielkie ilości węglowodanów z ryżu i makaronów – czułem się lekko, miałem dużo energii – azjatycka kuchnia naprawdę mi sprzyjała, a obwód w pasie się zmniejszał.

Zjadłem śniadanie, wykwaterowałem się z apartamentu i udałem na lotnisko, na którym miałem trochę emocji! Linie lotnicze AirAsia wprowadziły ostatnio znaczną automatyzację systemu odpraw, włączając w to procedury nadawania bagażu rejestrowanego. Jeśli pasażer nie odprawi się online, może uczynić to w lotniskowych kioskach, następnie należy samodzielnie wydrukować taśmy do oklejenia bagażu oraz go odprawić w odpowiednim punkcie, poprzez położeniu oklejonej walizki na taśmie transportowej, zeskanowanie kodu z biletu

i ewentualnym pożegnaniu się z dobytkiem, ponieważ żadnego potwierdzenia nadania nie otrzymuje się do ręki.

Co ciekawe, niespecjalnie jest kogo poprosić o pomoc – podobne doświadczenia miałem w Berlinie, stąd osoby mało doświadczone w podróżowaniu samolotami, starsze i nie znające angielskiego, mogą odczuwać wysoki poziom stresu i dyskomfortu przy podobnych procedurach. Sam jestem bardzo doświadczony, a takie elementy wywołały u mnie szybsze tętno, zastanawiałem się czy wszystko poszło zgodnie z procedurami i odbiorę bagaż z taśmy na lotnisku w Brunei. Zobaczymy!

Do miłego zobaczenia w kolejnym azjatyckim kraju!

Niespecjalnie jest nawet kogo zapytać i poprosić o wsparcie, jako to miało miejsce w Berlinie. Dla kogoś, kto ma małe doświadczenie w podróżach czy dla osób starszych mogą to być elementy nie do przejścia. Nawet u doświadczonych osób, jak ja, także wywołują one emocje czy wszystko pójdzie dobrze i bagaż poleci ze mną do Brunei.